

Zdzisław Najder: Przesłanie Josepha Conrada

Polski los Conrada-pisarza spleciony jest od początku z publicznymi funkcjami literatury pięknej w Polsce oraz z przemianami w moralności polskiego życia zbiorowego. Związany przez ostatni wiek z wielką rolą naszej inteligencji: był dla niej podporą i prorokiem, dzielił jej tryumfy. A teraz stał się (niezasłużenie) ofiarą jej zmierzchu czy kryzysu – pisał niegdyś Zdzisław Najder. Przeczytaj ten artykuł w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Lord Conrad, który przypominamy ze względu na przypadającą 3 grudnia 165. rocznicę urodzin pisarza.

Kiedy Jan Józef Szczepański ogłosił w roku 1957 szkic „Conrad mojego pokolenia”, który przyciągnął sporo uwagi, dawał świadectwo czemuś, co działo się o kilkanaście lat wcześniej. Wówczas, w okresie wojny, Conrad był dla generacji młodych AK-owców autorytetem moralnym: głosił zasady honoru, obowiązku i wierności – nawet wobec braku nadziei na zwycięstwo. W losach jego bohaterów odnajdywali analogie z losem własnym, z „sytuacjami ostatecznymi”, narzucającymi wymóg codziennego podejmowania decyzji, od których zależało życie własne i życie najbliższych. „Jego książki stały się zbiorem praktycznych recept dla ludzi, toczących bój samotnie i w ciemności”. Znakomity pisarz, najwybitniejszy w Polsce kontynuator refleksji moralnej Conrada, dostarczał swoim szkicem dokumentalnego zaplecza toczonej w latach bezpośrednio powojennych dyskusji między Janem Kottem a Marią Dąbrowską.

Kott zaatakował Conrada na dwu frontach. Po pierwsze zarzucił mu, że

– jako „ostatni moralista mieszczaństwa” – zaleca bierne słuzenie interesom kapitalistów. Zarzut był w istocie absurdalny i łączył się ze zignorowaniem (zapewne po prostu: nieznaną) takich utworów Conrada, jak *Nostromo*, *Tajny agent* czy *Gra losu*, w których świat „interesów materialnych”, czyli kapitalizmu, poddany jest surowej i zasadniczej krytyce. Nazwanie „moralistą mieszczaństwa” Conrada, tak oczywiście niechętnego kulturze mieszczańskiej i tak związanego z etosem rycersko-szlacheckim, było przeinaczeniem aż groteskowym i zwiastowało nadejście epoki „pojęć jak cepy”.

Drugim i ważniejszym, tak myślowo jak politycznie, przedmiotem ataku był Conradowski kult wierności. Kott twierdził, że „ani wierność, ani honor nie są same dla siebie wartościami moralnymi”, zaś „Conradowska wierność” jest „wiernością niewolników”, sprzeczną z „kodeksem postępowania człowieka wolnego”. W rzeczywistości polskiej roku 1945 znaczyło to tyle, że Conrad każe być wiernym przeszłości, zaś „człowiek wolny” powinien zaakceptować nowy ład, zgodny z duchem dziejów, siłą przemożnych faktów i własnymi dobrze pojętymi interesami. Kott mógł być jeszcze dodać na poparcie swojej tezy cytaty z Conradowego *Zwierciadła morza*: „Wierność jest wielkim ograniczeniem wolności”. Dlaczego? Po prostu dlatego, że wyklucza dowolność i wyznacza zobowiązania. Zarówno honor jak i wierność są ideałami, które nie opierają się na praktycznych przewidywaniach i wyliczeniach. Są wartościami kodeksowymi, nie pragmatycznymi. W ówczesnych polskich realiach oznaczało to, że przewidywania, czy narzucony przez Sowiety ustrój będzie trwały, czy nie, są moralnie obojętne. Wierności i honoru trzymamy się (na dobre i na złe, „na tryumf nasz i zagładę”, mówi Conrad) dla zasady, nie ze względu na przewidywaną nagrodę.

Dąbrowska w swoim eseju „Conradowski pojęcie wierności” zdążyła jeszcze (w początkach roku 1946 sito cenzury bywało jeszcze dziurawe)

nie tylko opisać Conradowską postawę moralną, ale i odsłonić polityczny sens wypowiedzi Kotta. Kilkanaście lat później Szczepański wrócił do tematu etycznego przesłania Conrada w szkicu „W służbie Wielkiego Armatora” (w tomie *Przed nieznanym trybunałem*, 1975), znakomicie rozpoznającym istotę Conradowskiej etyki, która zawiera normy obowiązujące bezwzględnie mimo, że nie stoją za nimi żadne ponadludzkie autorytety.

Conrad odczytywany tak, jak go odczytywali Maria Dąbrowska (poparta w roku 1946 przez Józefa Chałasińskiego i Antoniego Gołubiewa), Szczepański, i tacy pisarze emigracyjni, jak Andrzej Bobkowski, Gustaw Herling-Grudziński czy Wit Tarnawski, był mistrzem moralnym pokolenia, dojrzewającego w II Rzeczypospolitej, pokolenia którego tragicznym apogeum stało się Powstanie Warszawskie. Jednakże jego autorytet nie ukształtował się dopiero w latach wojenno-okupacyjnej próby. Czytelnicy polscy mieli od początku szczególny stosunek do „Pisarza-Rodaka”, jak w roku 1925 określił Conrada, w tytule entuzjastycznego szkicu, Stefan Żeromski – największy autorytet naszej inteligencji pierwszego ćwierćwiecza XX stulecia. Mimo ostrej (a częściowo na nieporozumieniu opartej) krytyki ze strony Elizy Orzeszkowej, która w roku 1899 oskarżyła Conrada o zdradę narodowego obowiązku, Polacy od początku szukali w jego dziele przesłań, do siebie specjalnie zaadresowanych. Tak więc na przykład Wiktor Gomułicki pierwszy odczytał *Lorda Jima* jako alegorię, wyrażającą Conradowe poczucie winy wobec porzuconej „Patny” – Polski.

Niezależnie od sensowności (moim zdaniem – znikomej) takiego rozumienia *Lorda Jima* zapytać można, czy w ogóle uprawnione jest dopatrywanie się w dziele Conrada jakichś specyficznie polskich sygnałów? (Żeromski, o dziwo, uważał, że "ani jednym włóknem

Czy w ogóle uprawnione jest dopatrywanie się w dziele Conrada jakichś specyficznie polskich sygnałów?

dorobek czysto artystyczny Josepha Conrada nie jest z literaturą polską „złączony”!) Otóż w ciągu ubiegłych czterdziestu lat badacze twórczości

Conrada, nie tylko polscy zresztą, wykazali ponad wszelką wątpliwość, że wiedza o jego polskim dziedzictwie kulturowym jest ogromnie przydatna (moim zdaniem - niezbędna) dla analizy tak struktur artystycznych jak i powracających motywów tematycznych a zwłaszcza całej problematyki moralnej w jego utworach. Jednoznaczne jest również świadectwo jego współczesnych, oparte na osobistych intuicjach przyjaciół. Na przykład zarówno Ford Madox Ford, z którym Conrad przez kilka owocnych lat ściśle współpracował, jak i Bertrand Russell, z którym się przyjaźnił, uważali polskość za klucz do jego myślenia i postawy życiowej. Zaś sam Conrad, w listownych dyskusjach z innym przyjacielem, znakomitym krytykiem Edwardem Garnettem, gniewnie korygował formułę o własnej rzekomej „słowiańskości”:
„wydajesz się zapominać, że jestem Polakiem. Zapominasz, że jesteśmy przyzwyczajeni chodzić w bój bez złudzeń”.

Z chwilą odzyskania przez Polskę niepodległości pretensje do Conrada, że pisze po angielsku, całkowicie zanikły. Niepodległość dała poczucie siły, wyzbyła kompleksów. A Conrad nagle okazał się Polsce potrzebny - jako marynista. W tej roli przedstawił go rodakom, we wstępie do I tomu *Dzieł wybranych*, entuzjasta polskiego morza, Stefan Żeromski. Samego Conrada rozgłos czołowego pisarza morskiego, osiągnięty wśród czytelników anglojęzycznych, irytował jednostronnością (narzekał na wlokący się za nim "diabelny korowód statków"). I

rzeczywiście inne, nie-morskie utwory Conrada, od początku współistniały w świadomości czytelników i krytyki literackiej z *Tajfunem*, *Murzynem z załogi „Narcyza”* czy *Smugą cienia*, zaś np. *Lord Jim* nigdy do literatury marynistycznej nie był zaliczany. Jednakże we własnej ojczyźnie, całkowicie niemal (poza XVI wiekiem) pozbawionej literatury morskiej, Conrad został prawie totalnie utożsamiony z marynistyką – na obopólną szkodę autora i publiczności. Przejawiało się to również w dużej poczytności takich artystycznie i myślowo raczej marginalnych w jego dziele utworów, jak *Zwierciadło morza*.

*Przyciągnąwszy uwagę i
sympatię żeglarskim
manewrem, choćby i trochę
zwodniczym, książki Conrada
stały się w Polsce oknem na
wielki świat, oknem otwartym
przez budzącego zaufanie
rodaka, a zarazem brewiarzem
lekcji moralnych*

Ta jednostronność odbioru stała się zarazem fundamentem szerokiej popularności Conrada w Polsce, wykraczającej daleko poza zwykły krąg czytelników literatury poważnej a nawet trudnej.

Przyciągnąwszy

uwagę i sympatię żeglarskim manewrem, choćby i trochę zwodniczym, książki Conrada stały się w Polsce oknem na wielki świat, oknem otwartym przez budzącego zaufanie rodaka, a zarazem brewiarzem lekcji moralnych. Lekcji tym łatwiej skądinąd przyjmowanych, że (świadomie lub nie) znajdowaliśmy w nich wyraźne echa znanych trudnych nauk wielkich pisarzy romantyzmu. Koledzy Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i Jana Józefa Szczepańskiego, zanim zastosowali kanony etyki Conradowskiej do odpowiedzi na ostateczne wyzwania

swojego konspiracyjnego losu, byli już z Conradem oswojeni przez jego opowieści o trudach marynarskiej służby, a przygodach splecionych z ciężką pracą, o surowym pięknie morza, obojętnie wymuszającego na ludziach nieustanną czujność w pełnieniu obowiązku. Oblicze moralisty, ukazującego bohaterów w sytuacjach ostatecznych, piszącego o konieczności obrony honoru nawet za cenę życia, o wierności nawet przy braku nadziei, o wymogach kodeksu obowiązującego niezależnie od nastroju i od praktycznych konsekwencji - to oblicze wyłaniało się jakby mimochodem spośród urokliwych obrazów fascynującej przyrody i przygody.

Dyskusję o Conradzie – autorytecie moralnym akowskiego pokolenia zamknął zakaz ogłaszania jego książek. Po roku 1956 zakaz cofnięto, ale właśnie te utwory Conrada, które w tym samym czasie najsilniej przyciągały uwagę czytelników i krytyków na Zachodzie, jego powieści polityczne, jak *Tajny agent* i *W oczach Zachodu*, pozostały w Polsce zabronione, tak samo jak publicystyczne wypowiedzi Conrada o rewolucji i o Rosji. Conrad odzyskał a nawet może i liczbowo rozszerzył swoją popularność w Polsce, ale była to popularność klasyka, którego dzieła mają niewielki związek z bieżącymi przeżyciami czytelników i otaczającą ich rzeczywistością. Los tytułowego bohatera *Lorda Jima* (tą trudną powieścią karmiono licealistów) stał się nich równie odległy, jak los Jacka Soplidy – Księdza Robaka, skądinąd wyraźnie i nie przypadkowo analogiczny.

A jednak tradycja etosu rycerskiego, tak silnie obecna w dziele Conrada, przemówiła potężnie w samym środku czasów PRL-u. Z tej bowiem przeciw tradycji wyrosło *Przesłanie pana Cogito* Zbigniewa Herberta (1974), przesłanie twarde, tragiczne, dumne i wyzywające. Przesłanie często cytowane a tak niechętnie przekładane na codzienność. Głośny później, w latach dziewięćdziesiątych, konflikt Herberta z hołubiącym

Mamy więc dzisiaj sytuację paradoksalną: Joseph Conrad, pisarz-rodak, niegdyś autorytet moralny, później autor zakazany, następnie powieściopisarz bijący rekordy nakładów - jest teraz u nas znacznie mniej obecny, tak w księgarniach jak w życiu intelektualnym, niż we Francji, Anglii, Kanadzie czy Włoszech

go wcześniej warszawskim środowiskiem intelektualnym był wyraźnym sygnałem, że anty-pragmatyczna etyka Conradowska jest we współczesnej polskiej recepcji narażona na relatywizację, a więc – unieważnienie. Gdyby bowiem przeprowadzić, ponad czasami wymuszonych

kompromisów i obojętnej kolaboracji, głośnego zakłamania i milczącego oporu, jawnego fałszu i cichej wierności, linię ciągłą od roku 1945 do 1989 – rezultatem byłby wymóg moralnego rozliczenia się z okresem PRL. Skoro takiego rozliczenia nie dokonano, Conrad musiał pozostać pisarzem nie wysłuchanym.

Mamy więc dzisiaj sytuację paradoksalną: Joseph Conrad, pisarz-rodak, niegdyś autorytet moralny, później autor zakazany, następnie powieściopisarz bijący rekordy nakładów – jest teraz u nas znacznie mniej obecny, tak w księgarniach jak w życiu intelektualnym, niż we Francji, Anglii, Kanadzie czy Włoszech. W Polsce nie wyszliśmy bowiem z dawnych stereotypów odbioru, a nie mieści się w nich to, co za granicą przyciąga dzisiaj do Conrada najwięcej uwagi (nie zawsze idącej w parze ze zrozumieniem!). Jest uderzające, że *Nostramo* – utwór od lat

uznawany prawie powszechnie za największe dzieło pisarza - jest u nas od dawna niedostępny w księgarniach i to mimo, że nowy (z 1984 roku) przekład Jana Józefa Szczepańskiego należy do arcydzieł polskiej sztuki translatorskiej!

Nie znaczy to wcale, że Conrad jest dzisiaj na szerokim świecie pisarzem modnym, trafiającym w aktualne nastroje i hołubionym przez krytykę jako prekursor współczesności. Przeciwnie: jest obecny, bo sprawia kłopoty, wywołuje niepokój. Jest nota bene pisarzem zwykle bardziej jednoznacznie rozumianym przez „zwykłych” czytelników (którzy instynktownie umieszczają go na tle tradycji literackiej, do której należy), niż przez tych badaczy, którzy skłaniają się ku „post-modernistycznemu” wyjmowaniu utworów z ich literackiego kontekstu. Trzy składniki jego wizji świata zderzają się z modnie rozpowszechnionymi dzisiaj postawami w humanistyce; skutki tych zderzeń bywają rozmaite: od odrzucenia Conrada do rewizji wyjściowych założeń krytyków.

*Conrad jest obecny, bo
sprawia kłopoty, wywołuje
niepokój*

Po pierwsze, anty-relatywizm. Prawda: są w postawie Conrada składniki wabiące sympatię relatywistów. W

swoich utworach uporczywie wskazuje na wielostronne uwikłania zasad i wartości, którymi się kierują jego bohaterowie; na sploty idealizmu i egocentryzmu, wierność „która przybiera postać zdrady”, fałsz który jest wynikiem chęci zdobycia uznania, kłamstwo które jest skutkiem wierności. Ta obsesja wykrywania wieloznaczności sytuacji moralnych różni się jednak zasadniczo od modnego obecnie

relatywizmu. Conrad nie uważa bynajmniej wartości moralnych za względne – ale za często sprzeczne ze sobą. Nie był przecież relatywistą Sofokles, każący Antygonie zginąć na skutek konfliktu dwu porządków, boskiego i świeckiego. Sprzeczne wartości, między którymi musimy wybierać, należą zwykle do różnych systemów aksjologicznych; ale nie koniecznie. Zakonnica wyrzekająca się życia rodzinnego może być równie pobożna, jak matka wychowująca dzieci; konspirator narażający nie tylko siebie, ale i swoich najbliższych nie wyłamuje się ze wspólnotowego kodeksu. Wybór bywa nieraz tragiczny: aby coś ocalić, lub dać czemuś szansę zaistnienia, niszczy się lub naraża na zniszczenie coś innego, także wartościowego. I Conrad ukazuje nieuchronne zderzenie się wartości ze sobą: tak w *Lordzie Jimie* zderzają się honor z miłością, w *Nostromo* pokój z wolnością.

Co więcej, skuteczność działania – tak niezbędna w życiu jednostek i zbiorowości – jest przez Conrada widziana jako postulat nic wspólnego z etyką nie mający. Przeciwnie: kierowanie się skutecznością z reguły doprowadza do rozbratu z zasadami moralnymi. W *Tajnym agencie* dążenie do praktycznej skuteczności sprawia, że poza idiotą Steviem wszyscy bohaterowie tej zjadliwie ironicznej powieści są właśnie – tajnymi agentami: ukrywają przed sobą wzajemnie motywy i cele swojego działania. Jeżeli zgodzimy się, że rynek jest najskuteczniejszym sprawdzianem skuteczności – to postawę Conrada trzeba uznać za zdecydowanie anti-rynkową. Rynek nie może decydować o tym, co słuszne; ani też demokracja nie jest, zdaniem Conrada, sposobem dochodzenia do prawdy, lecz tylko metodą rozwiązywania konfliktów i sprzeczności interesów grupowych. Conrad jest więc i anti-relatywistą i anti-rynkowcem.

Po drugie – tragizm. Dzisiaj „tragiczny” znaczy potocznie tyle, co „przykry w skutkach”, nie zaś „wynikły ze zderzenia się dwu wartości”.

Umysłowość współczesna, kształtowana pod podwójnym wpływem pragmatyzmu i psychologizmu, jest odczuwaniu tragiczności niechętna. I nie tylko z tego ogólnego powodu, że jeżeli się wszystko uważa za względne, to niczego nie można uznać za tragiczne; skoro wszystko jest względne, w miejsce tragedii mamy co najwyżej ponury bezsens. Również dlatego, że człowiek współczesny wykręca się jak może przed doznaniem nieuchronności, nieodwracalności - zwłaszcza w dziedzinie wyborów moralnych. A więc z jednej strony relatywizm, z drugiej praktycyzm („na wszystko jest przecież jakiś sposób!”) odgradzają od zrozumienia, że powinności etyczne człowieka stawiają go niekiedy w położeniu, z którego jedynym godnym wyjściem jest śmierć. Byłem niedawno świadkiem, podczas konferencji w Stanach Zjednoczonych, jak młodzi dyskutanci uporczywie bronili tezy, że zarówno Hektor jak i Antygona (nie mówiąc już o Conradowym Jimie!) po prostu chcą popełnić samobójstwo bo im życie niemiłe... Ich los z tragicznego przekształca się w tylko żalony.

*Porządek ludzki nie jest
przedłużeniem porządku
kosmosu, jest stałym
rzucaniem świata wyzwania.
Mówią o tym dobitnie morskie
utwory Conrada, jak Tajfun i
Smuga cienia*

Po trzecie –
przedział między
podmiotem a
przedmiotem, który
stanowi podstawę i
warunek rozwoju
europejskich nauk
przyrodniczych a
który jest tak
ochoczo zacierany

we współczesnej „postmodernistycznej” humanistyce. Dla Conrada, mimo że jest tropicielem jednostkowych i zbiorowych złudzeń, rodzących się z subiektywizmu i brania marzeń za rzeczywistość, przedział ten pozostaje podstawowym składnikiem doli człowieczej.

Między człowiekiem a przyrodą jest przepaść. Naprawdę „życie nie zna nas, a my nie znamy życia”; natura jest nawet nie obojętna (bo obojętność implikuje świadomą postawę), ale ślepa na ludzi i ich wysiłki, moralnie neutralna. Nie ma logicznej ciągłości między fizycznym światem w którym istniejemy a naszymi ideałami etycznymi. Porządek ludzki nie jest przedłużeniem porządku kosmosu, jest stałym rzucaniem świata wyzwania. Mówią o tym dobitnie morskie utwory Conrada, jak *Tajfun* i *Smuga cienia*; myśl o obojętności przyrody na człowieka wypowiedziana jest (i zobrazowana) w opowieści „Wtajemniczenie” w tomie *Zwierciadło morza*.

W sławnym zdaniu, odnoszącym się bezpośrednio do Irlandii (a opartym na podobnym odruchu, jak Lechoniowe „a wiosną niechaj wiosnę, nie Polskę zobaczę”) James Joyce nazwał, ustami Stephena Daedalusa, historię „nocnym koszmarem, z którego chciałby się obudzić”. Kryły się za tym zdaniem marzenie i program wyzwolenia się od historii, jakiejś egzystencji wyswobodzonej od zaszłości i powinności. Dla Conrada historia była nie mniej, niż dla Joyce'a, pełna koszmarów, ale wiedział, jak niszczące są próby uwalniania się od niej; dlatego był konsekwentnym anty-rewolucjonistą. W zrywaniu z przeszłością widział ucieczkę nie tylko od więzi zbiorowych, lecz w ogóle od odpowiedzialności. Przeszłość, w sensie historycznego dorobku kulturowego ludzkości, stanowiła dla niego fundament i skarbnicę wszelkich wartości moralnych. Ten krytyk zarówno kapitalizmu jak socjalizmu był konserwatystą w sensie podstawowym: uważał, że historyczny dorobek ludzkich wspólnot jest jedynym prawomocnym źródłem wartości.

Wiek XX przez cały czas swego trwania kazał filozofom i pisarzom powracać do tematu miejsca człowieka w historii - tematu, stawianego już przez Stendhala, Flauberta i Lwa Tołstoja. Conrad podjął go frontalnie w dwu powieściach. Pierwsza z nich to *Nostramo* (1904), wielka, napisana z epickim rozmachem panorama fikcyjnej - jakby syntetycznej - południowo-amerykańskiej republiki Costaguana. Wymyślając ten kraj Conrad stworzył sobie i czytelnikom coś na kształt ogromnego laboratorium doświadczalnego; ale bliższe przyjrzenie się książce przekonywa, jak solidnie jest ona zakorzeniona w realiach zachodniego świata przełomu XIX i XX wieku. *Nostramo*, którego tytułowym bohaterem jest „człowiek z ludu”, utożsamiający swoją reputację z własną osobowością – „wierny samemu sobie”, ale nie wierny innym, ginie z ręki przyjaciela, wzięty za kogo innego. Drugi główny bohater, przedsiębiorca-idealista Charles Gould, uwierzył, że „interesy materialne” dadzą się użyć jako środek do moralnego celu (uzdrowienia politycznego Costaguany); okazuje się, że służą one wyłącznie celom własnym. Conrad opowiada w *Nostromie* o roli wielkiego kapitału międzynarodowego, uporczywych walkach liberalnego tradycjonalizmu z rewolucyjną anarchią i o zwycięstwie "postępowego" porządku, narzuconego przez siłę „interesów materialnych”, porządku przynoszącego względny dobrobyt, okupiony zniewoleniem i duchowym wyjałowieniem.

Druga Conradowska powieść o historii ma tło bynajmniej nie fikcyjne a jej temat, bardziej szczegółowy i konkretny - przyszłość Rosji, z perspektywy lat okazał się nie mniej doniosły. *W oczach Zachodu* (1911) było przez kilkadziesiąt lat w Polsce praktycznie niedostępne – zakazane jako utwór jednocześnie antyrewolucyjny i antyrosyjski. Bohaterem jest petersburski student Kirył Razumow, zainteresowany wyłącznie własną karierą akademicką, któremu okazuje nieoczekiwane

zaufanie ukrywający się konspirator Wiktor Haldin, zabójca okrutnego ministra, zwierzchnika carskiej policji politycznej. Razumow wydaje kolegę, uzasadniając swój czyn wymogami logiki dziejów i interesami państwa, które nakazują utrzymanie systemu autokratycznego.

W oczach Zachodu mówi o śmiertelnym konflikcie między tłumiącym wszelką swobodę samodzierżawiem a rewolucją; konflikcie, w którym cyniczny i sprawny aparat władzy zderza się z naiwnym idealizmem dążących do wyzwolenia jednostek, ale także z awanturnictwem, samowolą i megalomanią buntowników. O Rosji, która nie może znaleźć wyjścia z dylematu: czy martwy porządek, oparty na bezprawiu i przemocy - czy swoboda, zdobywana drogą buntu i zniszczenia, chaosu i rewolucyjnej dowolności. Conrad napisał tę powieść pod wpływem refleksji, wywołanych przez wybuch i klęskę rewolucji 1905 roku. W roku 1920, znając już przebieg kolejnej rewolucji, która na siedemdziesiąt lat zmieniła losy Europy i świata, Conrad komentował: „Okrucieństwo i głupota rządów autokratycznych, odrzucając wszelką praworządność i opierając się w gruncie rzeczy na zupełnej anarchii moralnej, wywołują nie mniej głupią i dziką reakcję całkiem utopijnego rewolucjonizmu, który oddaje się niszczeniu, nie przebierając w środkach – w tej dziwacznej wierze, iż w ślad za upadkiem istniejącego porządku musi przyjść zasadnicza zmiana w sercach”. Owa „dziwaczna wiara” pojawia się i dzisiaj. A pytanie o przyszłość Rosji pozostaje nadal otwarte.

W obu powieściach znajdujemy charakterystyczny Conradowski paradoks: z jednej strony ukazanie niepewności i cząstkowości wpływu jednostki na bieg wydarzeń życia zbiorowego (na "historię"), z drugiej podkreślanie odpowiedzialności moralnej każdego człowieka. To nie bieg historii nadaje wartość ludzkim czynom, bo wcale nie jest tak, że

sprawiedliwość zwycięża a zło zostaje naprawione; wcale nie jest tak, że to, co wygrało, jest lepsze od tego, co zostało zniszczone. Ale działających „wewnątrz” historii nikt i nic nie uwalnia od pełnej odpowiedzialności za ich własne działania i postawy.

O ile fakt dzisiejszej nieobecności w Polsce *Nostroma* i *W oczach Zachodu* jest wynikiem przypadkowego splotu okoliczności, o tyle współczesny nam odpływ popularności dzieł Conrada wśród polskich czytelników przypadkiem nie jest i wiąże się bezpośrednio z widocznym kryzysem etosu służby w dzisiejszym społeczeństwie polskim i równoczesną utratą roli wzorcowej przez warstwę inteligencją. Napisano już o tym wiele, przeprowadzono kilka generalnych dyskusji, ostatnio na łamach „Rzeczypospolitej”; uczestnicy różnili się w opisach przyczyn i objawów a także w przepowiedniach na przyszłość (choć przeważały prognozy negatywne), zgadzali się co do samego faktu kryzysu. Wydany nieco ponad rok temu (wrzesień 1999) specjalny numer, poświęcony „zagubionej cnocie honoru”, można uznać za generalne wyjaśnienie przyczyn owego spadku zainteresowania Conradem u dzisiejszych Polaków. Nie jest to pisarz, którego chętnie czytają dorobkiewiczze i zwolennicy rozsądkowych kompromisów.

W latach 1989-90 autorytety inteligencji polskiej (a więc warstwy, która miała stać na straży pryncypiów) głosiły zasady pragmatycznego kompromisu: w sprawie wyboru prezydenta w 1989, nie-rozliczania PRL-u, nie uznania od razu niepodległości Litwy – podają trzy oczywiste przykłady. W ten sposób skuteczność wygrała z pryncypializmem. Można to uważać za pożyteczne, można wywodzić, że tak było trzeba - ale moralność Conradowska nie jest moralnością pożytku. Już Juliusz Kaden-Bandrowski borykał się w latach

dwudziestych ze sprzecznościami między uczciwością a skutecznością w życiu publicznym; ale on nie miał do czynienia ani z likwidacją skutków uzależnienia od wrogiego mocarstwa, ani z zamazywaniem różnic między ustrojem opartym na kłamstwie a ustrojem opartym na swobodach obywatelskich. Pryncypialistów uznano za „oszołomów” i zapewne z praktycznego punktu widzenia była to często klasyfikacja prawidłowa, ale sprzeczna z duchem i tradycją Conradowską.

Oszołomem okazał się Zbigniew Herbert, którego *Przesłanie pana Cogito* chętnie cytowano, ale niechętnie stosowano. Jego późne *Wilki*, wiersz o tragicznym końcu antykomunistycznej partyzantki, jest Conradowskim z ducha spojrzeniem na niedawną historię Polski:

*nie opłakała ich Elektra
nie pogrzebała Antygona
i będą tak przez całą wieczność
w głębokim śniegu wiecznie konać*

Drugi oszołom, mniej groźny bo odległy, Gustaw Herling-Grudziński, też okazał się bezpieczniejszy w użyciu już po śmierci.

Tak więc polski los Conrada-pisarza, los jego utworów wśród polskich czytelników i krytyków spleciony więc jest od początku z publicznymi funkcjami literatury pięknej w Polsce oraz z przemianami w moralności polskiego życia zbiorowego. Związany przez ostatni wiek z wielką rolą naszej inteligencji: był dla niej podporą i prorokiem, dzielił jej tryumfy. A teraz stał się (niezasłużenie) ofiarą jej zmierzchu czy kryzysu.

Jednakże tradycje europejskiego etosu rycerskiego, które stanowią rdzeń problematyki moralnej Conrada, ukształtowały się w kulturze polskiej o cztery wieki przed wyłonieniem się warstwy inteligenckiej i nigdy nie były jej wyłączną własnością – stanowią natomiast bardzo istotny składnik naszego dziedzictwa narodowego. Więc jeżeli polska tożsamość kulturowa nie zostanie rozmyta (przez samych Polaków!) w zalewach bezkształtnej kultury globalnego rynku, Conrad jeszcze do nas powróci.

Zdzisław Najder

Foto: GRANGER / Granger History Collection / Forum

Artykuł opublikowany w miesięczniku "Znak", luty 2001. Publikujemy za uprzejmą zgodą autora.